



ROMAN LIPIŃSKI

- CZELADNIK POLSKIEJ FOTOGRAFII

tekst: LILIANA ŁAZNIAK

Swoje pierwsze kroki w fotografii stawiał jako mały fotoreporter na obozach harcerskich. Choć wybór fotografii ugruntował m.in. film „Powiększenie” Antonioniego, to nie jedyna jego pasja. Roman Lipiński - fotograf przede wszystkim, ale także wędrowiec, żeglarz i wielki miłośnik jazzu. Na swoim koncie ma niejedno wyróżnienie, czy nagrodę, a mimo to skromnie nazywa siebie czeladnikiem fotografii.

Z zawodu jest Pan inżynierem geodetą, jednak Pańskie życie zdominowała fotografia. Jak zaczęła się właśnie ta przygoda?

Chyba bardzo prozaicznie i przypadkowo. Zaczęło się pod koniec podstawówki, w drużynie harcerskiej była ciemnia i szukano kogoś, kto by chciał robić zdjęcia na wyjazdach. Ponieważ i tak bywałem na wszystkich rajdach i obozach wypadło na mnie ...[śmiech]. To był przypadek, ale to co nastąpiło później, moment, w którym na kartce papieru pływającej w wywoływaczu pojawia się obraz, ta cała ma-

gia wywarła na mnie ogromne wrażenie. Muszę przyznać, że do dziś jestem pod jego wpływem.

Kilka miesięcy później, obejrzałem „Powiększenie” Antonioniego. O ile dobrze pamiętam, brakowało wtedy określonej w regulaminie kina liczby osób, aby seans mógł się odbyć, więc „przymknęto oko” na moją legitymację szkolną, no i stało się... Do tego muzyka Herbie Hancocka, młoda Jane Birkin przepadłem. Od tej pory fotografia, jazz i pewna blondynka, wpadająca od czasu do czasu do „ciemni”, zdominowały moje życie.

Fotografuje Pan od trzydziestu lat. Może się Pan pochwalić niejednym wyróżnieniem, nagrodą... Jak zatem zmieniła się ta dosyć długa ścieżka fotografii?

Pierwszy okres, szkoła średnia, Radom, to czas bardzo intensywny - turystyka, żeglarsztwo, muzyka, imprezy i fotografowanie, takie jeszcze nie do końca świadome ... no ale wtedy jedna lustrzanka przypadła na tysiąc osób, więc nie za bardzo można było konfrontować swoją „twórczość”. I tu znowu przypadek. Łącząc gdzieś po Górach Świętokrzyskich, trafiłem na wystawę fotografii krajo-

zowej Pawła Pierścińskiego i ... kolejny klaps ... no tak, mówię sobie: można inaczej.

Konsekwencją nieustannego słuchania jazzu była próba wejścia z aparatem na Jazz Jamboree i pierwsze foty gdzieś znad głów ochroniarzy. Kilka następnych lat, prawie cały okres studiów na Politechnice, to koncerty, wystawy, Jazz Jamboree, klub „Stodoła” ... i osoba Marka Karewicza, podpatrywanie jak fotografował ... imponował mi jego spokój, szukanie światła i kadru. Patrząc z perspektywy lat, to był ważny odcinek mojej fotograficznej drogi.

W odróżnieniu od następnego tego, w wolnej już Polsce, gdzie nie było problemu z kupieniem filmów i odczynników, gdzie mogłem kupić sobie dobry obiektyw, pojechać tam, gdzie mnie jeszcze nie było ... tylko fotografie jakiejś takie albumowe. Na sprzęcie powoli zaczął osiadać kurz. Coś się psuje, coś się schowa, a pudła z negatywami giną przy kolejnej przeprowadzce. Wydawałoby się, że to koniec przygody ... chyba nie, to raczej początek kolejnej... znowu przypadek?

Na początku XXI wieku trochę żegluję po „morzach i oceanach”, raczej na północ niż na południu, jak to

mówią „niedźwiedzie mięso”. Oczywiście aparat gdzieś tam zawsze był pod ręką... Pamiętam jednak ten moment, kiedy przepływając po kilku dniach marnej pogody w okolicach Wyspy Niedźwiedziej na Morzu Barentsa, nagle z totalnej mgły wylania się monstrualna skała. Ta adrenalina kiedy sięgałem po sprzęt, wystarczyła na kolejne kilka lat.

Te kolejne lata zdominowała fotografia krajoobrazowa... prawie zawsze „o wschodzie słońca” i prawie zawsze „ze szczytu”. To był okres nocnych wejść na górskie szczyty, łączenie z Rysami, tak, aby znaleźć się w tym najlepszym miejscu wcześniej niż światło. (...)

No i okres terazniejszy... Oczywiście, bardzo intensywne fotografowanie, to zupełnie naturalne przejście od krajoobrazu do aktu.... To kompozycje podobne, ale o innej skali [śmiech]. Mówiąc poważnie, to fascynacja światłem, wręcz obsesyjne jego szukanie, w każdej sytuacji ... czyli wracamy do źródeł, bo to przecież światło i „światłoczułość” jest najważniejsza!

Fotograf, sternik jachtowy, ratownik WOPR, przewodnik PTTK - jak łączy Pan te wszystkie zajęcia, pasje?

Mogę odpowiedzieć przewrotnie, że „trening tworzy mistrza”. Jakoś tak zawsze było, że nie miałem w kalendarzu „okienek” i niech tak pozostanie.

Oglądając Pańskie prace, można śmiało stwierdzić, że fotografuje Pan wszystko. Czy jest jednak konkretny temat, dziedzina szczególnie inspirująca, bliska?

Kiedyś tak było, miałem okresy monotematyczne, ale ostatnie pięć lat, to trochę coś innego. Mniej gonię za kadrem i motywem, szukam więcej nietypowych rozwiązań, buduję kadr w wyobraźni, przewiduję, a na światło chwilę poczekam. Komfortowe jest to, że nie muszę, ale lubię i chcę fotografować. Jak modelka nie dotrze na plener, a jest fajna aura, to idę fotografować żubry [śmiech].

Wśród Pańskich prac można dostrzec sesje, które w jakiś sposób odwołują się do kultury ludowej. Skąd pomysł na nawiązanie do polskiej etnografii? Czy możemy to uznać za próbę uchwycenia lub nawet przypomnienia tego, co stanowi nasze dziedzictwo?

Nie mam tak ambitnych planów, przynajmniej na tę chwilę. Stare, zabytkowe wnętrza, rekwizyty budują klimat, przez stuletnią szybę w oknie wpada inne światło, meble nie błyszczą... to się udziela wszystkim, zaczynamy więcej widzieć. Jeżeli dom ma duszę, to potem widać to na zdjęciu...

Nazywa Pan samego siebie „czeladnikiem”. Czy zatem fotografia to, według Pana, rzemiosło?

I mam na to papiery, to znaczy dyplom „czeladnika w zawodzie fotograf” - to taka pamiątka z dawnych czasów [śmiech]. Chciałem trochę „poterminować” w dobrym zakładzie fotograficznym. Aby jednak zakwalifikowano mnie na kurs, musiałem zataić maturę... Kiedyś, był to etap, na drodze do stania się „mistrzem”, było to potwierdzenie pewnej wiedzy, to moment, od którego można było pobierać wynagrodzenie za swoją pracę. Na pytanie „... czy fotografia, to rzemiosło..?” mogę odpowiedzieć, trochę żartobliwie, że w tej ogromnej masie posiadaczy lustrzanek, „bezlusterkowców” i analogów nie ma rzemieślników, nawet odnoszę wrażenie, że jestem jedynym czeladnikiem w tym kraju. Wszyscy inni fotografujący są już „mistrzami”.

Jest Pan także pomysłodawcą i współorganizatorem Mazurskich Spotkań z Fotografiami. Jaka jest ich idea?

Idea Mazurskich Spotkań z Fotografiami pojawiła się pięć lat temu, kiedy jeden ze znajomych, porzucił posadę w Stolicy, wyprowadził się na Mazury i przysłał zaproszenie na „parapetówkę”. Wtedy bardzo aktywnie w grupie foto-pleneru fotografowaliśmy w różnych miejscach. Mazury znam doskonale, już widziałem te kadry, a więc decyzja była szybka. Na pierwszym spotkaniu powstała taka idea, żeby zapraszać także początkujących miłośników fotografii... wymieniać poglądy i doświadczenia. Założenie było takie, że na każdy z plenerów ma być inne, nowe miejsce. To się tak spodobało, że impreza rozwinęła się dynamicznie ... tyle, że na każdy plener mamy nie jedno, ale trzy, cztery nowe miejsca, nowe stylizacje, nowe pomysły.

Wspólne marzenie mazurskich miłośników fotografii? ... o to już powiedziałem wcześniej ... światła, bo ono jest najważniejsze!



Jeśli chcesz wiedzieć więcej, przyciśnijmy link!

Znajdziesz go na dolcevitamagazyn.pl